

KS. TOMASZ KACZMAREK

W MIEJSCE BIOGRAFII

Zwyczajowo księgi jubileuszowe otwiera szkic biograficzny osób, którym są poświęcone. Tym razem jest to pogodne spojrzenie samego autora na niektóre fakty ze swego życia. Będzie tu chodziło o spojrzenie razem z czytelnikiem na okruchy dobra, jakie stały się udziałem autora, i nie tylko jego.

Początki

Dzień moich urodzin przypadł na 6 stycznia 1950 r., kiedy w liturgii Kościoła katolickiego obchodzona jest uroczystość Objawienia Pańskiego. Moją rodzinną parafią jest Chełmno, miejscowość przywołująca smutne wspomnienia z czasu II wojny światowej. Z dworu, z którego wyruszały do pobliskiego Lasu Rzuchowskiego samochody-komory gazowe załadowane skażąciami na zagładę, pozostawały w latach pięćdziesiątych XX wieku tylko ruiny. Na ścianach piwnicy były jeszcze wtedy widoczne plamy zmieszanej krwi ofiar – Żydów i Polaków. Ale chronologicznie pierwszym wydarzeniem, które utrwaliło mi się w pamięci, była śmierć Stalina, dlatego że w głośniku, nazywanym potocznie „kołchoźnikiem”, była niezwykle długo oplakiwana. Dziś widzę, że droga życia zaczynała mi się pod znakiem pamięci o dwóch ateistycznych, zbrodniczych systemach: hitleryzmie i stalinizmie, których męczenników przypadało mi później ukazywać Kościołowi.

Zupełnie innego rodzaju wydarzeniem z dzieciństwa, które najmocniej zapisało się w pamięci, było bardzo głębokie przeżycie wieczorem 25 sierpnia 1959 r. na Jasnej Górze, przed ołtarzem Krzyża Świętego w bocznej nawie Kaplicy Cudownego Wizerunku, kiedy zapadła nieodwołalna decyzja: „Będę księdzem”. Była to tak bardzo osobista sprawa, że nie odślaniałem jej nikomu, aż do czasu, gdy w rękę miałem świadectwo maturalne, choć i tak wielu się tego już wcześniej domyślało.

Czas seminarium

Od momentu zgłoszenia się do Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku, dokąd z nieukrywaną satysfakcją przywiózł mnie swoim

motocyklem ks. Mieczysław Piotrowski, wikariusz z Dąbia n. Nerem – od 1956 roku mojej nowej parafii – z niecierpliwością oczekiwałem dnia rozpoczęcia studiów. W wyznaczonym terminie na zjazd alumnów, 14 września 1968 r., pojawiłem się na furcie w seminarium możliwie jak najwcześniej. Przyjął mnie ksiądz wicerektor, którym był wtedy ks. Roman Andrzejewski, późniejszy biskup pomocniczy, dziś już nieżyjący. Z ujmującą dobrocią, która przerastała moje oczekiwania, poprowadził do swojego skromnie umeblowanego mieszkania „przy zegarze”, by tam przekazać kilka nieodzownych informacji. To wszystko było otoczone takim taktem pełnym serca, że byłem wprost zdumiony. Półgłosem wyrwały mi się wtedy słowa: „Mój Boże, ksiądz, a taki dobry człowiek!”

Okazuje się, że odkrycia przychodziły raz po raz, a dotyczyły różnych realiów seminaryjnego życia, regulaminu, zwyczajów i ludzi. Zatrzymam się tylko przy naszych księżach profesorach, na których zawsze patrzyłem z dużym szacunkiem.

Każdy z nich był zupełnie inny i miał w moich oczach coś godnego uznania. Nie zmienił tego pewnego rodzaju zimny prysznic, jakim stał się egzamin z historii filozofii na zakończenie pierwszego roku, na który – idąc za zachętą wykładowcy – zgłosiłem się dwa dni przed czasem. Kiedy recytowałem z pamięci osławiony wówczas skrypt, słyszałem słowa aprobaty, połączone z gestami, których się nie da zapomnieć: „A, to inteligentny studencik”. Gdy jednak tenże „studencik” wpadł na pomysł, żeby zacząć dysputować wokół wyuczonego materiału, od razu usłyszał, że z tą inteligencją jest zupełnie inaczej. Nie pozostało nic innego, jak podjąć dalszy ciąg recytacji. Wtedy znów był „inteligentny studencik”. Niesmak, jaki pozostał z owego egzaminu z filozofii „przed czasem”, rozplynął się później przy innych profesorach, np. ks. prof. Stanisławie Mazierskim czy ks. prof. Stanisławie Kowalczyku.

Przytoczę jeszcze jeden egzaminowy epizod. Na roku IV prowadził egzamin z teologii moralnej ks. prof. Stanisław Olejnik. Miał zwyczaj, że prosił na salę po dwie osoby: jedna odpowiadała, a druga w tym czasie przygotowywała się do odpowiedzi. Akurat kolega, który zdawał razem ze mną, nie był tego dnia w najlepszej formie. W trakcie odpowiadania popełnił tak niefrasobliwy błąd, że mnie poruszyło, ale nie miałem możliwości mu pomóc. Gdy ksiądz profesor mu przerwał i jeszcze raz podszedł do tematu od innej strony, i znów się powtórzyło to samo, byłem zaskoczony reakcją. Normalnie można było spodziewać się surowej reprimendy, a tu nic z tego. Ks. prof. Olejnik popatrzył na niego przez chwilę z jakimś autentycznym smutkiem na twarzy, a potem ściszone głosem powoli

powiedział: „Egzamin zakończony. Proszę już wyjść”. Więc wyszedł, a ja nabrałem do profesora jeszcze większego szacunku.

Wyczekiwany od tylu lat dzień święceń kapłańskich, 15 czerwca 1974 roku, nadszedł niespodziewanie szybko.

„Teraz pojedziesz uczyć się do Rzymu”

Po trzech latach, jakie błyskawicznie przeminęły na dwóch wikariatach (1974–1977), najpierw w Choczcu nad Prosną, a potem w Izbicy Kujawskiej, usłyszałem z ust biskupa ordynariusza Jana Zręby: „Teraz pojedziesz uczyć się do Rzymu”. Miałem udać się na pięcioletnie specjalistyczne studia do Instytutu Patrystycznego „Augustinianum”. Po miesiącach udreńk, żeby zdobyć paszport, a także włoską wizę pobytową, wreszcie we wrześniu 1977 roku było już wiadome, że mogę wyruszyć w kompletnie dla mnie nowy świat, a emocje powiększało jeszcze to, że jechałem bez fachowego przygotowania do przedmiotu, bez znajomości języków, a na dodatek bez pieniędzy na studia.

Zanim wsiadłem na Dworcu Gdańskim w Warszawie do pociągu w kierunku „Italia”, było oczywiście jeszcze spotkanie z biskupem Zarebą. Kiedy go zapytałem, co będzie z opłatą za studia, popatrzył na mnie, a potem poklepał mnie kordialnie po ramieniu i powiedział: „Bracie, bracie, pobłogosławię ci, to sobie poradzisz!” Po czym, po krótkiej modlitwie, udzielił błogosławieństwa. Ja przyjąłem słowa biskupa bardzo na serio i tak samo na serio westchnąłem do Pana Jezusa: „Panie Jezu, widzisz, skoro tak mówi Twój biskup, to wiem, że Ty za niego uzupełnisz, co potrzeba”. Mogę zaświadczyć, że od chwili wyruszenia pociągiem do Rzymu w dniu 20 września tegoż roku towarzyszyła mi nieprzerwanie odczuwana opieka z nieba. Nie znaczy to, że od tej pory moje życie nad Tybrem płynęło sielsko i anielsko. Było po prostu typowo dla Bożej pedagogii: Pan Bóg umacniał, udzielał pomocy bezpośrednio albo poprzez Jego ludzi, dokonywał cudów, gdy było to potrzebne, ale jednocześnie prowadził drogą zakosztowania krzyża wprost „do szpiku kości”, by nauczyć trochę mądrzejszego patrzenia na wszystko.

Rzym pozostaje niezwykłym miejscem, gdzie można było się wiele nauczyć. Tu umacniało się moje przekonanie, że studium dziedzin teologicznych jest wyrazem miłości Kościoła. Właśnie z tego czasu pochłaniania na wszelki możliwy sposób wiedzy z zakresu patrologii, a także z innych dziedzin (raz po raz zapisywałem się na wybrane wykłady na innych uczelniach rzymskich, jak w Instytucie Archeologii Chrześcijańskiej czy „Biblicum”), wracają wspomnienia spotkań z wyjątkowymi postaciami,

chrześcijanami wielkiego pokroju. Do takich należał o. prof. Agostino Trapè OSA, niegdyś przez dwie kadencje przełożony generalny Zakonu Świętego Augustyna, ekspert Soboru Watykańskiego II, światowej sławy znawca św. Augustyna, jakby uosobienie dobroci i radości, który potrafił porywać dla tegoż Ojca Kościoła swoich słuchaczy. Był w tym gronie i o. prof. Jean Gribomont OSB, rozmiłowany w nauczaniu św. Hieronima, organizator prac nad wydaniem Neo-Wulgaty. Któregoś razu, gdy poszliśmy go odwiedzić w jego opactwie, zastaliśmy tego cenionego na świecie naukowca przy pucowaniu toalet klasztornych. W habicie podciągniętym dość wysoko na pasie, by go nie zmoczył przy schylaniu, odezwał się do nas z rozbajającym uśmiechem: „Jeżeli możecie, poczekajcie chwilę, zaraz skończę. Dziś jest tu moja kolejka”. Przy takich ludziach o zdumiewającej głębi wiedzy, którzy jednocześnie – jeden i drugi – zakończyli życie w opinii świętości, chrześcijaństwo i teologia nabierały imponujących walorów.

Ale Rzym to przede wszystkim szczególne miejsce dla chrześcijaństwa, gdzie przy grobach Apostołów żyje „pamięć” Kościoła i żywo pulsuje jego powszechność, gdzie spotykają się uczniowie Chrystusa wszystkich ras, kolorów skóry, dzieląc tę samą wiarę mimo kompletnie odmiennych mentalności i kultur. W mieście Apostołów, tysiące świętych – najbardziej tworzących historię Kościoła w ciągu dwudziestu stuleci – w mieście nakładających się epok kultury, historia przepowiadania Ewangelii nabierała po prostu innego wymiaru.

Jakimż przeżyciem była możliwość spotkania z bliskim papieża Pawła VI, Jana Pawła I, a potem naszego rodaka Jana Pawła II. W rzeczywistości sama tylko opowieść o studenckich czasach rzymskich wystarczyłaby na bardzo barwną księgę.

We Włocławku

Od września 1983 r. już pakowałem moją bibliotekę patrystyczną, by stopniowo przez kilka miesięcy przesłać jej zasadniczą część do Polski autobusami pielgrzymów, którzy mimo niebywałych trudności, z fantazją i entuzjazmem tłumnie przyjeżdżali na spotkania z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Miałem wielką nadzieję na niezwłoczne wykorzystywanie jej w Polsce. Biskup ordynariusz miał jednak inną wizję. Polecił mi przyjechać w styczniu 1984 roku bezpośrednio z lotniska do domu biskupów włocławskich, tam zamieszkać i przejąć od zaraz funkcję swojego kapelana, notariusza Kurii, zajęcia w seminarium duchownym i to wszystko, co na bieżąco niesło życie przy boku biskupa.

Już wiosną 1984 roku biskup Zaręba, któremu zależało na ożywieniu prowadzonego procesu beatyfikacyjnego sługi Bożego bp. Michała Kozala, polecił mi, bym się nim zajął, pod kierunkiem relatora Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, o. Michała Machejka OCD. Jesienią tegoż roku włączono mnie do grupy zaprzysiężonych *cooperatores externi* (współpracownicy zewnętrzni) Kongregacji. Tak oto 25 lat temu zaczęła się wielka przygoda ze świętością kanonizowaną: w przyspieszonym tempie należało się teraz nauczyć podstaw prawa kanonizacyjnego, a jednocześnie przystępować bezpośrednio do pracy.

Biskup Jan Zaręba nie doczekał jednak beatyfikacji biskupa Michała. Odszedł do Pana wczesnym rankiem 22 listopada 1986 r., w sobotę przed niedzielą Chrystusa Króla. W przeddzień wieczorem, gdy wróciłem do domu później na kolację, po zakończeniu sesji Teologicznego Towarzystwa Naukowego w seminarium, przyszedł jeszcze do mnie porozmawiać, a osiem godzin później pochylałem się już nad stygnącym ciałem biskupa moich święceń, zdanego teraz tylko na łaskę innych. Kilka dni później złożono go w krypcie bazyliki katedralnej, gdzie przy wejściu widnieje wymowny napis: *Olim antistites, nunc ossa et cineres* (niegdyś przewodzący innym, teraz kości i popioły).

Gdy diecezję włocławską objął w grudniu 1987 r. nowy biskup, Henryk Muszyński, pozostałem nadal kapelanem, ale nieco w innym stylu. Według umowy miałem nim być jeszcze tylko trzy miesiące, do czasu wprowadzenia nowego biskupa w diecezję, a faktycznie przedłużyło się to do półtora roku. W lipcu 1989 r. przeprowadziłem się do gmachu seminarium i tam zamieszkałem na stałe.

Studium Teologii

Przy seminarium włocławskim funkcjonował Instytut Wyższej Kultury Religijnej (IWKR) dla świeckich, założony w 1938 r., który jednak w powojennych czasach komunistycznych nie mógł wznowić swojej działalności. Erygował go ponownie bp Jan Zaręba 19 września 1983 r. i powierzył kierowanie nim ks. Wojciechowi Hancowi. Od sierpnia 1989 r. mnie przypadło przejąć kierownictwo Instytutu. Było wprost radością prowadzenie zajęć dla dwudziestokilkuosobowej grupy słuchaczy, którzy mieli już zakończone inne studia, zdobyli różne zawody, a teraz sięgali do teologii dla pogłębienia swego życia wiary. Sytuacja jednak zmieniła się już po roku.

W następstwie przemian ustroju politycznego, jakie nastąpiły w Polsce po 1989 r., w 1990 r. do programów szkolnych powróciło w pełnym wymiarze nauczanie religii. Brakowało jednak przygotowanych kateche-

tów. Okazało się, że działający w tym czasie IWKR, o trzyletnim cyklu zajęć, był faktycznie jedynym ośrodkiem w diecezji, który zajmował się względnie systematyczną formacją teologiczną laikatu, nie dając jednak właściwego przygotowania pedagogicznego i katechetycznego. Mimo to w diecezji włocławskiej przyjęła się praktyka, że jego absolwenci mieli podstawę do ubiegania się o misję kanoniczną do nauczania religii w zakresie szkoły podstawowej lub pracy w duszpasterskich punktach poradnictwa rodzinnego. Trudno przeto się dziwić, że osoby, którym w 1990 r. powierzono nauczanie religii – choć w większości były jeszcze do tego nieprzygotowane merytorycznie – zaczęły się zgłaszać do naszego Instytutu. A w dniu 13 października 1990 r., w trakcie prowadzenia zajęć w ramach programu czwartego semestru IWKR-u, wkroczyła niespodziewanie na salę ponad 60-osobowa grupa nowo zaangażowanych w szkołach nauczycieli religii, z żądaniem przyjęcia ich w nadzwyczajnym trybie na zajęcia. Przyszli bezpośrednio ze spotkania zorganizowanego dla nich przez Wydział Katechetyczny Kurii Diecezjalnej Włocławskiej. W sumie na zajęcia w roku 1990/91 zapisało się 120 osób, co stawiało nas wobec zupełnie nowych zadań, choćby i od strony rozwiązania problemów lokalowych.

Ale były też niepokojące pytania o ideowość masowo przyjmowanych katechetów, a teraz naszych studentów. Zdarzyło się raz, że pośród osób składających papiery o przyjęcie na IWKR znalazł się były funkcjonariusz UB, który utrwalił się w mojej pamięci trzynaście lat wcześniej z bardzo upokarzających rozmów w przeciągu kilku miesięcy w urzędzie paszportowym, przed otrzymaniem paszportu na studia zagraniczne. Po rozpoznaniu już nigdy się nie pokazał.

Po trzech pierwszych semestrach zajęć z tą wielką falą kandydatów na katechetów w dzienniku zajęć na IWKR, pod datą 25 stycznia 1992 r., zamieściłem adnotację: „Ideowość, zainteresowanie sprawą Kościoła – niskie. Frekwencja na zajęciach średnio nie przekraczała 60%. W ostatnim dniu zajęć, kiedy ostatnie dwie godziny wykładowe poświęcone były na program formacji duchowej i uroczyste zakończenie pierwszego roku pracy, wzięło udział tylko 48 osób”.

Dla mnie było oczywiste, że przygotowanie katechetów, nauczycieli wiary, stanowiło wprost palące wyzwanie. Nowa sytuacja w realiach diecezji domagała się jak najpilniejszego przekształcenia IWKR-u w instytucję o charakterze w pełni formacyjnym i pełnoprawnym akademickim, dającym także możliwość uzyskania przez absolwentów stopnia magisterskiego. Trzeba powiedzieć, że sprzyjającą okolicznością ku temu było przyjęcie

do diecezji od 1992 r. nowego biskupa, Bronisława Dembowski, który wtedy jeszcze pełnił funkcję dziekana Papieskiego Wydziału Teologicznego (Sekcja Św. Jana Chrzciciela) w Warszawie. Zaraz po nim tę funkcję przejął ks. prof. Ludwik Królik, który w tym czasie był moim wicepostulatorem dla procesu beatyfikacyjnego Męczenników II wojny światowej z archidiecezji warszawskiej. To wszystko w sumie bardzo sprzyjało utworzeniu Studium Teologii, jako zamiejscowego instytutu przy PWTW. Teraz trzeba było niezwłocznie przekształcić profil zajęć, poszerzyć kadrę wykładowców oraz znaleźć miejsce i fundusze na prowadzenie dzieła. Tego nie można było odkładać na korzystniejszy czas.

Wypracowanie szczegółowego programu organizacji zajęć pełnego, sześcioletniego cyklu, aprobatą Wydziału Teologicznego, a następnie zatwierdzenie ze strony Kongregacji Studiów i Seminariów oraz aprobatą Ministerstwa Edukacji i Szkolnictwa Wyższego – wszystko to udało się przeprowadzić w ciągu niespełna roku. Studium Teologii funkcjonowało już od pierwszego semestru roku akademickiego 1992/93.

Nikt się nie łudził, że dzieło osiągnęło doskonałą postać. Ta młoda instytucja pozostawała jeszcze w fazie rozwijania się i ciągłego tworzenia, mierząc się na bieżąco z problemami i trudnościami przeróżnej natury. Na dodatek lata 1993 i 1994 zaznaczyły się we Włocławku tym, że wobec instytucji i obiektów kościelnych nasiliły się akty wandalizmu ze strony „nieznanych sprawców”, wobec których organa bezpieczeństwa miasta zupełnie nie okazywały zainteresowania, by ich wykryć. Tego również doświadczało Studium Teologii: jedynie w październiku 1993 r. trzykrotnie porozbijano nam w salach wykładowych w domu przy ul. Gdańskiej 6 duże szyby okienne.

W 1993 roku powstały w diecezjach w Polsce jeszcze dwa podobne ośrodki. Na polecenie Papieskiego Wydziału Teologicznego i jednocześnie Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie, oparły się one na modelu wypracowanym we Włocławku, co dla mnie – oczywiście – nie było powodem do zmartwienia.

Dwa pierwsze lata funkcjonowania Studium dawały tytuł do pewnego rodzaju poczucia satysfakcji z dokonania słusznego początku, a także pozwalały żywić uzasadnione przekonanie, że dzieło już się nie załamie i będzie rozwijać się pod kierunkiem nowej dyrekcji, co nastąpiło, kiedy jesienią 1994 roku musiałem się przenieść na dwa lata do Rzymu, do prac przy Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych nad procesem Męczenników II wojny światowej. Tych dwóch dzieł dalej już nie dało się prowadzić w odpowiedzialny sposób jednocześnie.

Najlepszą wizytówką Studium Teologii są jego absolwenci, cenieni w szkołach jako nauczyciele i wychowawcy. Do dziś 820 absolwentów uzyskało stopień magistra ze specjalnością katechetyczną czy poradnictwa rodzinnego. Ci ludzie włączyli się ofiarnie w życie tak diecezji wrocławskiej, jak i sąsiednich. Trud zatem nie był daremny.

Męczennicy przywołani przez bł. Michała Kozala

Choć ta sprawa jest dla mnie najważniejsza, podjęcie jej w osobnym artykule o Gabriela Bartoszewskiego OFM^{Cap} skłania mnie do dotknięcia jej tylko w dużym skrócie, ograniczając się jedynie do kilku uwag.

Bł. Michał Kozal w dekrecie beatyfikacyjnym otrzymał zaszczytny tytuł „Mistrza Męczenników”. Czas pokazał, że faktycznie przywołał on do beatyfikacji duże grono tych, którym przewodził w składaniu świadectwa. Tak rozpoczął się proces beatyfikacyjny Męczenników II wojny światowej, jaki w Polsce nie miał precedensu. Tym razem zorganizowanie prac i opracowanie metody studium o męczeństwie pozostawało w moich rękach. O zakresie prac mogą już coś powiedzieć same liczby. Po długich konsultacjach z diecezjami i zgromadzeniami zakonnymi, w sumie przedmiotem uwagi było ponad trzysta osób, które poniosły śmierć z rąk hitlerowskiego prześladowcy. Z nich tylko 108 zostało przedstawionych na końcu do beatyfikacji. W trakcie prac procesowych przyjęto zeznania zaprzysiężone 779 świadków, 221 zeznań „biegłych” historyków i archiwistów, członków komisji historycznych. Pośród materiałów dowodowych rozpatrzono 695 dokumentów dotyczących samego męczeństwa, nie wspominając już o tysiącach innych dokumentów pobocznych dla sprawy. Bezpośrednio w pracach nad dziełem było zaangażowanych ponad 600 osób z całej Polski i zagranicy. Te wszystkie prace udało się przeprowadzić w Polsce w przeciągu zaledwie dwóch lat, a ich owocem były 94 tomy usystematyzowanych materiałów w tzw. *Copia publica*, jako baza do dalszego studium w Kongregacji nad męczeństwem naszych rodaków.

Tam, gdzie podejmowane są dzieła dla chwały Bożej, tam zawsze zaznacza swoją obecność ten, którego Boże słowo określa jako „zabójcę od początku” i „ojca kłamstwa” (J 8, 44). W tym dziele też pojawiały się raz po raz niewytłumaczalne przeszkody, eksplozje zła, przeciwności, dziwne zaciemnienia, nieporozumienia. Nie miejsce i nie czas, żeby te sprawy ujawniać w detalach. Z radością natomiast mogę dziś powiedzieć, chociaż też bardzo oględnie, o czymś zupełnie przeciwnym: w dniu rozpoczęcia procesu na uroczystej sesji publicznej w bazylice katedralnej, 26 stycznia 1992 r. – była to 49. rocznica śmierci bł. Michała Kozala – po zakończo-

nych ceremoniach doświadczyłem wewnętrznego potwierdzenia ze strony samego Błogosławionego Biskupa, że rozpoczyna się bardzo ważne dzieło dla chwały Bożej. A z taką pewnością i Bożym błogosławieństwem inaczej podejmuje się nawet najbardziej trudne wyzwania.

Od 2003 roku doszedł mi na prośbę prymasa Polski kard. Józefa Glempa jeszcze jeden męczennik – sługa Boży ks. Jerzy Popiełuszko, tym razem męczennik ateistycznego systemu komunistycznego. Doświadczenia poprzedniego procesu bardzo się teraz przydały przy pracy nad *Positio super martyrio* w nowych realiach Kongregacji.

Na co podzielić podarowany czas?

Niejednokrotnie z różnych stron słyszałem pouczenia: „Powinieneś się zająć więcej nauką, a nie tracić czasu na inne sprawy”. Czyżby? Przecież te „inne sprawy” – a wspomnę tylko o dwóch – w różnych sektorach życia Kościoła nie tylko nie blokują autentycznych poszukiwań teologicznych, ale tworzą bardzo przydatne ramy dla nich i do tego, co jest bardzo potrzebne dla budowania chrześcijańskiej cywilizacji miłości. Dlatego nigdy nie było mi żal ani sił, ani czasu czy środków materialnych, kiedy od roku 1989 w czasie wakacji albo przerw świątecznych, bez robienia rozgłosu, wyruszałem na wyprawy misyjne na wschód. Ich sens niech opowiedzą przynajmniej dwa fakty.

To było w sierpniu 1989 roku (20 lat temu). Wtedy jeszcze wszechwładnie panował Związek Sowiecki, a wszelkie przejawy religijności były nie tylko surowo zakazane, ale i bardzo dotkliwie karane, zwłaszcza wobec młodszych ludzi. W ukryciu przed agentami wszechobecnej milicji politycznej KGB, z dwoma miejscowymi osobami pojechałem pewnego dnia przez knieje i pustkowia do bardzo odległej wioski w rejonie witebskim. W największej chacie czekało już wielu ludzi. Po sakramencie pokuty, sakramencie chorych i po Mszy świętej trudno się było rozstać. Byłem zdumiony, gdy odkryłem, że jest tam aż cała grupa ludzi powyżej 90 lat. Jak dali radę tu przeżyć? Jedna z takich staruszek z wielkim wzruszeniem powiedziała mi łamiącym się głosem: „Ojcze, jacy my dziś szczęśliwi! Dziś Pan Bóg spełnił nasze modlitwy! Tyle lat się modliliśmy, żeby dał nam jeszcze przed śmiercią spotkać kapłana, by pojednać się z Bogiem. Teraz już możemy spokojnie umierać. Nic nam już więcej nie potrzeba[...]”.

A kiedy po trzech tygodniach wracałem do Polski, przysłała na pożegnanie duża gromada ludzi. Spoglądali na mnie w milczeniu, a w oczach mieli łzy. Wreszcie dyrektorka kołchozu, Rosjanka, podeszła bliżej i na kolanach zaczęła prosić przejętym głosem, po rosyjsku: „Przyślijcie nam

kapłanów, bo my tu żyjemy nie jak ludzie, ale jak świnie”. Ci bardzo udręczeni ludzie dobrze rozumieli, jak straszna następuje degradacja człowieczeństwa i kultury, kiedy usunie się z życia Dekalog, gdy nie będzie dostępu do łaski odnawiającej człowieka, gdy braknie mocy miłości strzegącej przed nienawiścią i pychą.

Tak samo nie żał mi poświęcenia wiele czasu w latach 1990–1994, kiedy pomagałem w przeniesieniu na polski grunt dzieła prowadzonego przez włoskie zgromadzenie zakonne Sług Miłości, nazywanego od założyciela „guanellianami” (ks. Luigi Guanella). Gdy miałem okazję poznać bliżej charyzmat tej wspólnoty, uderzał mnie sposób patrzenia na dotkniętych upośledzeniem fizycznym i psychicznym, włącznie z najcięższymi stanami. Oni szli z miłością ku tym, którymi inni się brzydzą. Nazywają ich *buoni figli*, tj. „dobre, kochane dzieci”, dlatego że są kochane przez Boga oraz przeznaczone tak samo do pełni życia i piękna po zmartwychwstaniu. Choć przłożonym tego zgromadzenia brakło w pewnej chwili odwagi do otwarcia we Włocławku-Michelinie pierwszego domu, to jednak dzieło nieco później i tak w Polsce ruszyło – w Skawinie k. Krakowa. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku wycofano się z planu zorganizowania domu we Włocławku, przede wszystkim pod wpływem bieżących, bardzo gorzkich doświadczeń z Nigerii, gdzie bezlitośnie wykorzystano ich inwestycje, wielki nakład finansowy, a potem okazało się, że trzeba dzieło zamykać.

Epilog

Jest on epilogiem tylko w sensie zakończenia tekstu, a nie dzieła. Jesteśmy przecież „w drodze” do ostatniego dnia życia na ziemi.

Spoglądając wstecz na dobre dzieła, jakich Pan pozwolił dokonać, chyba najwłaściwszym będzie otwierać wciąż na nowo Księgę Psalmów na wersecie: „Nie nam, Panie, nie nam, ale imieniu Twojemu daj chwałę” (Ps 115, 1).